GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 MARCA 1933
NR. 5 ROK III

ZDARZENIA I POGLĄDY

ZMIANA STATUTU BANKU POLSKIEGO

POLITYKA GOSPODARCZA A PRAWO ZMNIEJSZAJĄCEGO SIĘ PRZYCHODU

ALEKSANDER K. IVANKA

MOTYW ZATRUDNIENIA

ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI

UWAGI

USTAWA KARTELOWA
POTRZEBY I ŚRODKI
BILANS PRACY
ZASTRZEŻENIA

PIATILETKA Z PERSPEKTYWY

CZESŁAW BOBROWSKI

NOTATKI

FENOMEN NATURY
KTO ZNA WARSZAWĘ?
Z. A. S. P. I INNE LITERY
POLITYKA GOSPODARCZA I MECZE
PRÓBA WŁASNEJ DOKTRYNY
SAMOBICZOWANIE

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 5
1933 R.
1 — III

ZDARZENIA i POGLĄDY

ZMIANA STATUTU BANKU POLSKIEGO

Po ciężkich doświadczeniach walutowych, jakie Polska przeżyła, zainteresowanie opinji sprawami pieniądza jest w zupełności usprawiedliwione. Trudno się też dziwić, że do każdego kroku instytucji emisyjnej, choćby bezpośrednio niezwiązanego z bieżącem życiem gospodarczem, przywiązywana jest znaczna waga. Między zainteresowaniami społeczeństwa w tym zakresie i znajomością zawiłego mechanizmu pieniądza istnieje zrozumiała dysproporcja. Daje ona pole dla demagogji, plotek, mącenia wody, a na ekonomistów nakłada obowiązek wyjaśniania społeczeństwu rzeczywistego znaczenia obserwowanych wydarzeń. W ciemnościach niewiedzy lęgnie się niepokój. Niektórzy ekonomiści sądzą, że najlepiej uspokoją opinję, rzucając światło różowe. Inni wolą zielone. Stąd, zamiast spokoju, wynika niekiedy zamieszanie. Sądzimy, że światło białe, niebarwione światło prawdy, jest na długą metę zawsze najzdrowsze.

Istotą uchwalonej w dn. 9 lutego zmiany statutu Banku Polskiego jest obniżenie obowiązującej granicy pokrycia emisji i natychmiast płatnych zobowiązań, oraz uelastycznienie tej granicy. Czy krok taki można uznać za objaw niepokojący? Napewno: nie. Zabezpieczenie bowiem obiegu zostało faktycznie nieuszczuplone, nadto wiemy z dekadowych sprawozdań, podawanych przez całą prasę, że silny odpływ rezerw kruszczowo-walutowych, który miał miejsce do połowy 1932 r., następnie ustał, a nadto ostrożna i przewidująca polityka deflacyjna skomprymowała obieg banknotów dzięki czemu procent pokrycia wzrósł z 42% w dn. 10.VII 1932 na prawie 47% w dn. 10.II 1933, a więc o 7% ponad dotychczasową normę statutową. Konsekwencja dotychczasowej polityki i enuncjacje jej kierowników dają gwarancję, że polityka ta nie zostanie poniechana.

Powstaje w takim razie pytanie: czy zmiana była potrzebna. Naszem zdaniem: tak. Nikt nie może przewidzieć dalszego przebiegu kryzysu. W razie pogłębienia się w świecie dążności autarchicznych, czynne saldo bilansu handlowego może nie wystarczać dla opłacania procentów od zadłużenia zagranicą, nie jesteśmy również asekurowani przed manją tezauryzacyjną. Ponowny, może przejściowy, nacisk na rezerwy Banku Polskiego nie jest więc wyłączony, chociaż jest niemniej prawdopodobne, że nacisk ten nie nastąpi. Przewidująca polityka każe się przygotować nietylko na lepszą, ale i na gorszą ewentualność. Dzisiejsza wysokość rezerw, przy możności dalszego, umiarkowanego stosowania deflacji, pozwala uważać nawet długotrwały jeszcze odpływ rezerw za niegroźny dla kursu złotego. Jednakże w razie przekroczenia wdół granicy pokrycia statutowego powstałoby zaniepokojenie, wzrost tezauryzacji, większe zapotrzebowanie kruszcu i walut, co zmusiłoby Bank do zastosowania ostrych restrykcyj, z wielką znowu szkodą dla całości życia gospodarczego. Normy pokrycia były oznaczone przez większość banków emisyjnych znacznie wyżej niż to jest niezbędne dla faktycznego zabezpieczenia obiegu, to wyższe zabezpieczenie jest pożądane dla zwiększenia zaufania publicznego. Skoro jednak ustał normalny ruch

kapitałów, nadto tezauryzacja wycofała znaczną część światowego złota, niektóre kraje dotkliwie odczuły szkodliwość zbyt sztywnych systemów emisyjnych. Gorzej jest bowiem mieć doskonałą normę i odległy od niej stan faktyczny, niż normę skromniejszą, ale możliwą nawet w czasie kryzysu do uszanowania. W tej właśnie myśli wysunął komitet finansowy Ligi Narodów znane zalecenie o potrzebie uelastycznienia norm pokrycia emisji, dlatego też decyzja Banku Polskiego, realizująca powyższe zalecenie, została tak przychylnie przyjęta przez prasę zagraniczną. Nie zmienia ona stanu faktycznego, a lepiej zabezpiecza spokój nerwów społeczeństwa na mało prawdopodobny wypadek pogorszenia tego stanu.

Tak rozumiemy znaczenie dokonanej reformy. Drugorzędne znaczenie mają wprowadzone zmiany w *sposobie* obliczania pokrycia. Tem mniej zrozumiałe jest, że niektórzy publicyści uważali za konieczne wysunięcie na plan pierwszy postanowienia o niezaliczeniu do pokrycia posiadanego przez Bank Polski zapasu walut i dewiz obcych, a nawet wysnuli stąd wniosek, przyjęty także przez słabiej orjentujące się organy zagraniczne, jakoby Polska przyjęła system waluty złotej (gold standard), polegający przecież nie na czem innem, jak na wymienialności banknotów na złoto, w monetach, albo w sztabach. Ta legenda jest mało szkodliwa, wprowadza jednak pewne zamieszanie pojęć.

Daleko bardziej niebezpieczna jest taka interpretacja wprowadzonych zmian, która sugeruje władzom Banku chęć wyzyskania tych zmian w kierunku zastąpienia dotychczasowej polityki deflacyjnej przez politykę inflacyjną. Wprawdzie oświadczenie prezesa Banku na walnem zgromadzeniu nie dawało najmniejszych podstaw do takiej interpretacji, a dobrze poinformowana „Gazeta Polska" w artykule redakcyjnym z dn. 11 lutego wyraźnie stwierdza, że metoda umiarkowanej deflacji będzie utrzymana. Pomimo to ozwały się dość liczne głosy, będące niekiedy wyrazem nieuświadomienia, częściej — pobożnych życzeń pewnych grup. Aby nie mnożyć przykładów, których było więcej, ograniczamy się do dwóch:

W „Dniu Polskim" (nr. 37) p. A. C., pod wymownym tytułem: „Nowa polityka emisyjna", po zaznaczeniu, że Skarb Państwa będzie się czasem zwracał do Banku Polskiego o pokrywanie „drobnych" deficytów, pisze:

„Rozszerzenie możliwości emisyjnych Banku Polskiego i czerpanie z tego źródła kapitałów pieniężnych otwiera jednak przed państwem daleko szersze możliwości, a mianowicie możliwości przejścia do ofenzywnej, twórczej polityki gospodarczej".

Jeszcze konkretniej i w bardziej zdecydowanym tonie rozwija tę samą myśl tak poważny publicysta, jak p. T. Sławiński, redaktor „Przeglądu Gospodarczego": Pisze on mianowicie:

„Wzmożenie zdolności emisyjnej Banku Polskiego, w wyniku zmian statutowych, pozwoli doprowadzić emisję banknotów do wysokości — biorąc za podstawę stan zapasu złota z dn. 31 stycznia b.r.—ca 1700 milj. zł., t. zn. o przeszło 600 milj. więcej, aniżeli wynosi obecna emisja Banku". I dalej zastanawia się nad sposobem wchłonięcia tej dodatkowej emisji przez „życie gospodarcze".

Ta ostatnia enuncjacja świadczy o czemś bardzo poważnem, mianowicie o tem, że wielki przemysł, którego przedstawiciele dotąd solidarnie podpisywali się (przynajmniej de nomine) pod polityką: wszystkie ofiary, byle utrzymać walutę, zmienił hasło, wywieszając banderę: inflacyjne „nakręcanie" konjunktury, choćby kosztem waluty. Nie potrzeba bowiem dowodzić, że doprowadzenie pokrycia do minimalnej normy statutowej, przy równoczesnem zaopatrzeniu w środki wszystkich, chcących tezauryzować, stworzyłoby dla waluty groźbę zupełnie realną. Nowe hasło „Lewjatana" jest tem szkodliwsze, że społeczeństwo jest niewątpliwie zmęczone kryzysem, a zmęczone nerwy łatwiej ulegają namowie zastosowania narkotyku.

Zmiana statutu Banku Polskiego nie daje żadnych podstaw do niepokoju. Nie można natomiast powiedzieć tego samego o tych, którzy najbardziej wyolbrzymiają i reklamują dokonaną zmianę w nadziei jej wyzyskania.

ALEKSANDER K. IVANKA

POLITYKA GOSPODARCZA A PRAWO ZMNIEJSZAJĄCEGO SIĘ PRZYCHODU

Zadaniem polityki gospodarczej w zakresie tworzenia programu statycznego winno być neutralizowanie skutków prawa zmniejszającego się przychodu.

Chcąc przedstawić formę produkcji, której przychód zależny jest od jednego tylko czynnika, trzeba sięgać do przykładów bardzo prymitywnych. Zbieranie jagód w lesie, zbieranie kwiatów na łące, będzie zależne w wielkości swego przychodu od ilości pracy wykładanej przez zbierającą. Jeżeli ilość pracy dziennie będzie zawarta poniżej granicy fizjologicznego zmęczenia, to wielkość przychodu będzie w stosunku wprost proporcjonalnym do nakładu pracy.

Zbieractwo, jako forma gospodarowania jest największym prymitywem gospodarczym, do tego stopnia, iż owiany jest czemś w rodzaju romantyzmu gospodarczego. Realizm gospodarczy ma charakter wręcz odmienny.

Realizm gospodarczy cechuje *wielość* czynników, kształtujących przychód danego dobra. A w tym wypadku musi istnieć odpowiednia harmonja pomiędzy poszczególnemi czynnikami.

W zakresie ustosunkowania się liczbowego po szczególnych czynników istnieją minima i maksima, przekraczalność ich powoduje zmiany w wielkości przychodu.

Ta okoliczność, iż produkcja jest wynikiem zespołu szeregu czynników, spowodowała, iż powstało w ekonomji politycznej prawo zmniejszającego się przychodu.

Prawo to głosi, iż powyżej pewnej granicy nakłady stosowane przy produkcji poczynają dawać zmniejszające się przychody. Przyczyną tego jest to, iż poprzez stosowanie nakładów następuje zmiana w układzie wszystkich czynników kształtujących produkcję, a skoro przekroczone zostaną pewne minima konieczne lub maksima dopuszczalne dla danego czynnika, jego brak lub nadmiar powoduje pomniejszanie przyrostu przychodu.

Prawo zmniejszającego się przychodu powstało w rolnictwie, gdzie przejawia się ono najjaskrawiej, obowiązuje ono jednak we wszystkich dziedzinach produkcji.

Niewątpliwie, iż skoro poszczególne przychody kształtują się pod działaniem prawa zmniejszającego się przychodu, tedy i dochód społeczny, jako suma dochodów poszczególnych, od prawa tego zależy. Lepsze lub gorsze gleby, warunki insolacyjne, głębokość kopalin, stan urządzeń technicznych w warsztatach przemysłowych i t. d. wszystko to są czynniki posiadające istotne znaczenie dla produkcji danego działu i oddziaływanie prawa zmniejszającego się przychodu w danej gałęzi wytwórczości.

Jenakże mamy pozatem szereg elementów istotnych dla kształtowania się dochodu, a wykraczających poza obręb poszczególnego gospodarstwa. Będą to warunki komunikacyjne i związane z tem taryfy, stopień obciążenia podatkowego i struktura budżetu, kwestje oświatowe, kulturalne i t. d. Czynniki owe wywierają wpływ na kształtowanie się dochodu społecznego, czynniki owe również wymagają w istnieniu swem pewnej proporcji; wzrost silny jednego z czynników powodujący przekroczenie maksimum, powoduje wzrost dochodu, lecz znacznie mniejszy aniżeli stosunek przyrostu nakładu — prawo zmniejszającego się przychodu działa.

Okoliczność ta jest szczególnie ważna, bowiem czynniki, o których przedtem była mowa, są czynnikami zależnemi od polityki państwa, są czynnikami kierowanemi, wynalezienie przeto wytycznej harmonizującej ich układ współzależny jest rzeczą doniosłą.

Wyjaśnimy to na przykładach.

Stosowanie systemu szkolnictwa powszechnego 7-o oddziałowego na wsi jest objawem chlubnie świadczącym o naszych ambicjach oświatowych. A jednak jest to system nieracjonalny. Cóż może bowiem czekać chłopca, który ukończył 7 oddziałów szkoły powszechnej i zmuszony jest potem pracować na karłowatem gospodarstwie rolnem? Wtórny analfabetyzm. Jest więc tu wadliwe ustosunkowanie elementów: nakładu na rzecz szkolnictwa powszechnego i nakładu na rzecz przebudowy ustroju rolnego. Rezultat: przyrost przychodu w sensie korzyści społecznej niepomiernie mniejszy w stosunku do stosowanego nakładu.

W społeczeństwie polskiem istniały zawsze sympatje dla programów inwestycyjnych*) to też nic dziwnego, że programy inwestycyjne mogły stawać się realnemi i być realizowane. Inwestycje jednak zmniejszały ilość kapitału obrotowego w społeczeństwie, utrudniając tem samem obniżkę stopy procentowej. Tymczasem wysoka stopa procentowa ciążyła niepomiernie na kosztach produkcji warsztatów rolnych i przemysłowych. Przeglądając bilanse spółek akcyjnych, widzi się dwa zjawiska niezmiernie charakterystyczne: w bilansie brak własnych kapitałów obrotowych, w rachunkach strat i zysków wysokie sumy, zapłacone tytułem odsetków.

Brak kapitałów obrotowych i wysoka stopa procentowa były czynnikami, znajdującemi się w układzie elementów, kształtujących dochód społeczny, poniżej zdrowego minimum. Czynnik ten musiał wpływać obciążająco na kształtowanie się dochodu społecznego, pomniejszając efekt nakładów, stosowanych w innych dziedzinach. Tak więc

*) Patrz. artykuł „Iluzje" w Nr. 24 z 1932 r.

w Polsce była prowadzona akcja interwencji na rzecz rolnictwa w zakresie kształtowania się cen na płody rolne. Celem tej akcji było zapewnienie rentowności warsztatom rolnym. Efektywność stosowania tej akcji nie mogła być skuteczną bo punkt ciężkości spoczywał gdzieindziej. — w wysokości stopy procentowej, obciążającej koszty produkcji. Korzyści uzyskiwane z akcji musiały być nikłe w stosunku do nakładu; prawo zmniejszającego się przychodu działa.

Powstaje, oczywiście, kwestja, czy przy systemie liberalizmu gospodarczego nie osiąga gospodarka społeczna optymalnego wykorzystania istniejących elementów, kształtujących dochód społeczny. Na pytanie to można odpowiedzieć drogą eliminacji. Na kształtowanie się dochodu społecznego wpływają czynniki gospodarcze i pozagospodarcze. Teorja ekonomji politycznej w rozumowaniu swem od czynników gospodarczych, słusznie abstrahuje, lecz polityka gospodarcza musi się z niemi realnie liczyć. Czynniki pozagospodarcze (stan oświaty, poziom kultury, ideeologja gospodarcza danej warstwy), ze swego charakteru muszą być wyeliminowane z płaszczyzny liberalizmu gospodarczego.

Z pośród czynników gospodarczych wyodrębnić musimy potrzeby kolektywne i gospodarkę monopolową. W ten sposób olbrzymia część zjawisk zostaje wyodrębniona, zwężając granice i skuteczność liberalizmu. Czy jednak, mimo tego zwężenia liberalizm nie uzasadnia swej wyłączności? Gdyby nawet, to i tak powstaje zagadnienie harmonizowania polityki w zakresie czynników pozagospodarczych z żywiołowością procesów czysto gospodarczych. Zagadnienie harmonizowania to już kwestja planu, a istnienie planu to potrzeba zasadniczej myśli przewodniej. Gubimy się wielokrotnie w ocenie stopnia wagi potrzeb kolektywnych („kryterjów w kolejności zaspakajania potrzeb kolektywnych, niestety, niema", powiada Prof Heydel), wydaje się jednak, iż znacznie łatwiej będzie znajdować ocenę, o ile za kryterjum gospodarcze przyjmie się neutralizowanie działania prawa zmniejszającego się przychodu.

Na tem jednak zagadnienie nie wyczerpuje się. Swoboda kształtowania się procesów gospodarczych, ich żywiołowość, bynajmniej nie jest równoznaczna z racjonalnością ekonomiczną. Dla liberalizmu kryterjum racjonalności gospodarczej jest stopień rentowności w warunkach wolno-konkurencyjnych. Można przytoczyć szereg przykładów, przemawiających przeciwko temu. Tak więc przed wojną banki niemieckie chętnie stosowały pożyczki on call'owe, które dawały bankom wysokie zyski. Interes ten jednak był niczem innem, jak ułatwianiem spekulacji giełdowej, co w konsekwencji powodowało patologię procesów giełdowych. To też Reichsbank walczył z bankami, żądając silnej redukcji tego rodzaju pożyczek. Stopa procentowa mimo warunków wolnokonkurencyjnych bynajmniej nie była wskaźnikiem racjonalności gospodarczej. Wysoka rentowność przedsiębiorstw użyteczności publicznej jest dowodem ich aracjonalnej polityki. Wysokie taryfy przedsiębiorstw komunikacyjnych, gwarantujące im rentowność według stopy rynkowej, mogą powodować hamowanie obrotów gospodarczych w takim stopniu, iż gospodarstwo społeczne jako całość poniesie z tego tytułu tylko straty.

Procesy gospodarcze są wynikiem dyspozycyj gospodarczych całego społeczeństwa. Jednakże nastawienie poszczególnych warstw jest w wielu wypadkach różne, silnie odchylając się od ideału teoretycznego homo oeconomicus. Ideologją gospodarczą chłopa jest nietyle zwięszanie dochodu ile zwiększanie majątku. Posiadanie ziemi jest celem głównym, niezależnym od stopnia rentowności gospodarstwa. Stąd też żywiołowość w procesie parcelacji, bynajmniej nie pokrywa się z momentami racjonalizmu gospodarczego, nie towarzyszy temu wzrost kapitałów obrotowych, raczej przeciwnie. Polityka gospodarcza, licząc się z faktem żywiołowości tego procesu, musi stwarzać warunki racjonalizującego, poprzez kierunki parcelacji i dostarczanie kapitałów, tak by neutralizować w tym wypadku działające prawo zmniejszającej się wydajności. Drobny przedsiębiorca czy kupiec jest jednostką gospodarującą o prymitywnej psychice, skłonną do gospodarki obliczonej na duży zysk doraźny kosztem mniejszego obrotu lub niestałości klijenteli. Duży odsetek tej grupy, tak jak ma to miejsce w Polsce, stwarza konieczność zracjonalizowania procesów gospodarczych, zachodzących w tej warstwie w imię uporządkowania elementów pomniejszających dochód relatywnie do nakładu.

Oparcie polityki gospodarczej na harmonizowaniu poszczególnych elementów, kształtujących dochód społeczny, w celu neutralizowania prawa zmniejszającego się przychodu, wydaje się być najracjonalniejszem rozwiązaniem zagadnienia t. zw. programu gospodarczego.

Jakież mogą nasunąć się tu wnioski?

Truizmem jest, iż Polska jest krajem o nadmiarze rąk roboczych, braku kapitałów i niezbyt obfitem zaopatrzeniu w surowce. Układ wzajemny tych 3 czynników produkcji wskazuje odrazu na to, że dochód społeczny Polski musi kształtować się wadliwie. W istocie: ręce robocze nie znajdują należytego zatrudnienia (niezależnie od kryzysu), obciążając koszty opieki społecznej (w miastach) i powodując nadmierne rozdrobnienie ziemi (na wsi); kapitał wysoko oprocentowany obciąża produkcję, w dodatku w dużej części emigrując zagranicę, jako procenty i dywidendy od kapitałów zagranicznych.

Na tle powyższej struktury należy zauważyć, iż społeczeństwo polskie od czasów niepodległości sprzyjało, niestety, programom:

forsującym inwestycje — co pomniejszało zasób własnego kapitału obrotowego,

uprzywilejowaniu wsi kosztem miasta — co powodowało osłabienie tempa uprzemysłowienia, a więc utrzymywało stan bezrobocia na wsi

mechanizacji — co przy nadmiarze rąk roboczych jest aracjonalnem,

wysokiego stopnia zaspakajania potrzeb kolektywnych — co znowu pomniejszało tempo akumulacji kapitału.

Przyczyną tego było to, iż w psychice kojarzyły się dwa elementy: określonego celu i środków potrzebnych na jego realizację. Nie występował

natomiast proces hierarchizowania celów. Poniekąd nic dziwnego, że nie występował, gdyż brak było kryterjów dla tworzenia hierarchji. Zmienność celów występowała raczej pod wpływem zmienności nastrojów emocjonalnych.

Na tle tych rozważań można dojść do następujących wniosków: w polityce gospodarczej, będącej przegrupowywaniem elementów kształtujących dochód społeczny, działa, podobnie jak w poszczególnych procesach produkcyjnych — prawo zmniejszającego się przychodu. Rzeczą racjonalnej polityki gospodarczej, podobnie jak rzeczą racjonalnie prowadzonej produkcji, jest tak działać, by oddziaływanie prawa zmniejszającego się przychodu jaknajbardziej neutralizować.

Ponieważ przyczyną zmniejszania się przyrostu przychodu w stosunku do nakładu jest zmiana ustosunkowania się liczbowego elementów, oddziaływujących na proces twórczy, przeto polityka gospodarcza winna dążyć stale do zachowywania właściwych proporcji pomiędzy całością elementów, składających się na proces twórczy.

Wobec nadmiaru rąk roboczych, polityka gospodarcza dążyć musi do jaknajszybszej akumulacji kapitału obrotowego w Polsce w formie czy to oszczędności indywidualnej, czy przymusowej (ubezpieczenia), a to celem obniżenia stopy procentowej.

Nadmiar rąk roboczych i niezbyt obfite surowce powodują, iż szczególnie ważnem jest tworzenie nowych gałęzi zatrudnienia. Gospodarstwu polskiemu potrzeby jest typ rzutkiego przedsiębiorcy, produkującego na średnim warsztacie.

W zakresie stosowania norm polityki gospodarczej należy nieustannie pamiętać o właściwej proporcji elementów, tak, by istniejące nakłady (przewłaszczenia dochodu społecznego) dawały jaknajwiększy rezultat w postaci wzrostu dochodu społecznego.

Harmonję układu elementów można ustalać drogą empiryczną. Proporcja musi być nieustannie badana. *Niema zagadnień, będących zjawiskami izolowanemi, każde zagadnienie, każde zjawisko to tylko część całości.*

ZDZISŁAW ŁOPIEŃSKI

MOTYW ZATRUDNIENIA

Nietylko wielki przemysł może dać zatrudnienie. Źródłami pracy są również rolnictwo i przemysł średni. Wystarczy usunąć uprzywilejowanie wielkiego przemysłu.

Charakterystyczna dla budowy gospodarczej Polski dysproporcja pomiędzy wysoko-kapitalistycznemi formami pewnych gałęzi produkcji, a wczesno-kapitalistyczną, zacofaną organizacją innych gałęzi życia gospodarczego, dysproporcja, na którą między innymi zwracał uwagę p. Ivanka w artykule p. t. „Program gospodarczy w Polsce“ umieszczonym w Nr. 16—18 „Gosp. Narod.“ z 1932 r. ma wiele wspólnych przyczyn z inną, bardziej znaną, choć niekiedy negowaną dysproporcją. Z dysproporcją pomiędzy warunkami pracy i rozwojem wielkiego przemysłu z jednej strony, a handlu i średniego i drobnego przemysłu oraz rolnictwa z drugiej. Ta dysproporcja nie jest bez analogji z tem, co daje się zaobserwować na zachodzie w państwach wielko-kapitalistycznych. Jednakowoż stopień upośledzenia handlu oraz skala rozpiętości pomiędzy przemysłem średnim i wielkim, skala, sprawiająca, iż jesteśmy jednocześnie krajem chałupnictwa i wielkich koncernów ciężkiego przemysłu — jest doprawdy bez precedensu. Obie powyższe sprzeczności wiąże w jedno zjawisko wspólne podłoże: podłoże większej stosunkowo rentowności funkcji produkcji przemysłowej, zwłaszcza jeśli chodzi o wielki przemysł, aniżeli innych funkcyj gospodarczych. Oczywiście rentowność pojmujemy tu w znaczeniu bardzo rozszerzonem, nie ograniczając się np. jedynie do dywidendy, wypłacanej przez przedsiębiorstwa przemysłowe i traktując dajmy na to zagwarantowanie minimalnej renty czy zagwarantowanie nienaruszalności kapitału na równi z rentownością w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Podłoże tego stanu rzeczy jest istotnie głębokie. U najdalszych podstaw znajdziemy kwestję półmiljonowej masy przyrostu naturalnego, masy, która kiedyś w czasach, o których już prawie zapomnieliśmy, znajdowała możność zarobkowania częściowo na emigracji, częściowo w przemyśle krajowym. Trudności związane z tym przyrostem starano się usunąć reformą rolną, w kierunku utworzenia drobnych gospodarstw. Ale reforma rolna nie zapewniła i zapewnić nie może egzystencji dla całego przyrostu, który nadal ciąży nad wszystkiemi źródłami pracy. Stąd powstaje tak ważki dla polskiej polityki gospodarczej motyw zatrudnienia, motyw znalezienia pracy dla nadmiaru ludności.

Z przyczyn, o których tu nie będziemy mówili, motyw ten przybiera naogół postać doraźnego leczenia zła społecznego i przekładanie celów bliższych nad dalsze. Mówiąc prościej, motyw maksymalnego zatrudnienia nie staje się naogół podłożem takiej koncepcji programu gospodarczego, która miałaby prowadzić do tego, ażeby *kiedyś* powstał układ stosunków gospodarczych w Polsce, pozwalający na maksymalne powiększenie ilości zatrudnionych rąk roboczych, lecz staje się podłożem doraźnych posunięć, mających na oku zwiększenie *dziś* ilości robotników przemysłowych o kilka czy kilkanaście tysięcy, wzgiędnie zapobieżenie redukcjom kilku czy kilkunastu tysięcy.

Już w okresie inflacji motyw zatrudnienia kształtuje politykę państwową, wywołując faworyzowanie w polityce kredytowej jednostek przemysłowych, zatrudniających dużą ilość rąk roboczych. W ostatnich latach, latach trudności na rynku pracy, polityka ta przybiera postać dążenia do stabilizacji, do utrzymania na dotychczasowym poziomie źródeł zapotrzebowania pracy. Wielka idea maksymalnego zatrudnienia zamienia się w praktyce na wysiłki w kierunku utrzymania każdej placówki przemysłowej, wszystko jedno, źle czy dobrze funkcjonującej. Każda wielka fabryka musi być utrzymana w ruchu, bo do tej pory była w ruchu. Ponieważ zwolnieni z fabryki robotnicy przez krótszy lub dłuższy okres czasu musieliby obciążyć fundusz bezrobocia, więc na korzyść polityki utrzymywania coute que coute warsztatów wygrywany jest moment odciążania w ten sposób funduszu bezrobocia. Podobny proces zachodzi przy podtrzymywaniu przedsiębiorstw zalegających z opłatą podatków państwowych. Wprawdzie długi podatkowe są w zasadzie wymagalne przed innemi, wszelako kapitał przedsiębiorstw przemysłowych jest z natury rzeczy mało płynny, no, i egzekucja mogłaby pozbawić władze skarbowe podatnika. A przedewszystkiem znów mielibyśmy do czynienia ze wzrostem bezrobocia. Motyw zatrudnienia, obawa przed zwiększeniem bezrobocia, nakładają więzy polityce gospodarczej i narzucają jej najbardziej nieraz kwestjonowane posunięcia. Trudności i niepowodzenia walki o ceny kartelowe, dumping i premje wywozowe dla przemysłu, wszystko to pozostaje w związku z polityką stabilizacji zatrudnienia.

W przemyśle, pracującym w cieplarnianych warunkach, jakie zapewnia mu motyw zatrudnienia, następuje zniekształcenie form działalności. Hasłem przemysłowca staje się monopolizacja rynku, a narzędziem walki o rentowność przedsiębiorstwa—podwyżka lub usztywnienie cen. Innym objawem degeneracji jest zurzędniczenie zbytu przemysłowego. Nie biuro sprzedaży stara się o zwiększenie rynku, lecz odwrotnie, rynek stara się o otrzymanie towaru z biura kartelowego.

Jakie są rezultaty dodatnie tej polityki gwarantowanej rentowności i maksymalnego zatrudnienia? W pierwszym rzędzie pewnego rodzaju samowystarczalność surowcowa gospodarstwa krajowego. Po za tem przemysł nasz istotnie reprezentuje wiele działów produkcji, utrzymywanych na średnim poziomie technicznym, kulturalnym i kapitałowym. Wreszcie przygotowany jest do obrony Państwa. No, a przedewszystkiem zapewnia stosunkowo dużo i jako tako ustabilizowane zatrudnienie.

Ciemne strony takiego stanu rzeczy są jednak wymowniejsze. Pomijamy to, że motyw maksymalnego zatrudnienia, działający zazwyczaj na rzecz i na korzyść przemysłu, niekiedy uderza w jego interesy, prowadząc do przymusu zatrudniania przez przedsiębiorstwo zbędnych rąk roboczych. W tem zjawisku jest pewna ironiczna sprawiedliwość. Natomiast utrzymywanie się przemysłu przy wysokich cenach, gwarantowanych wysoką taryfą celną, kartelizacją i automatycznem premjowaniem wywozu, prowadzi do niskiej stopy życiowej i niskiej siły nabywczej wszystkich innych działów, pozostających poza funkcją przemysłu. Stąd również powstaje wysoka stopa zysków z kapitału, wynikła przecież nietylko z ryzyka lokaty, ale również z głodu inwestycyjnego. Dalszym rezultatem tego prądu jest wydawanie rozporządzeń o maksymalnym dochodzie z kapitału, dających pożytek nietyle dysponentom kredytu, którzy zawsze zysk znajdą w marży zakupu i sprzedaży kapitału, co przemysłowi, jako odbiorcy kredytu. Korzyści przemysłu w tym zakresie występują szczególnie jaskrawo, jeśli się uprzytomni, w jak nieproporcjonalnie małym (stopniu (w porównaniu z innymi działami życia gospodarczego przemysł, zwłaszcza wielki, korzysta z kredytów lichwiarskich, mając znacznie szerszą możność korzystania z reglamentowanych uprzywilejowanych kredytów. Tak zwana polityka pro-przemysłowa obciąża wreszcie budżet Państwa w sposób widoczny po stronie rozchodowej i niewidoczny po stronie dochodowej; (ulgi, niskie taryfy, itd.). Oczywiście, że tak zwana polityka pro-przemysłowa nie jest rezultatem jedynie „motywu zatrudnienia" Skoro jednak motyw ten odgrywa rolę dominującą, a przedewszystkiem skoro służy on za oficjalne uzasadnienie dezyderatów i posunięć nawet wtedy, kiedy są one powodowane innemi przyczynami, rachunek motywu zatrudnienia mamy prawo obciążyć wszystkiem tem, co wiąże się z polityką wysokich cen przemysłowych, a więc poza wyżej wymienionemi zjawiskami, również i polityką dumpingu wywozowego, niemożnością wywozu naszych wyrobów gotowych, wyrabianych z drogiego krajowego surowca itd. itd.

Dalszym wynikiem uprzywilejowania przemysłu jest niedorozwój handlu. Proces degradacji handlu posunął się tak daleko, że jest już dziś zapóźno na rozwijanie go zwykłemi środkami, wystarczającemi dla przyśpieszenia procesów naturalnych. Zwłaszcza, że procesy gospodarcze idą w znacznym stopniu w kierunku zanikania hurtowego handlu, zarówno wewnętrznego jak i międzynarodowego. Rozwój handlu możliwy byłby jedynie przy zastosowaniu środków wielkiej skali i głęboko sięgających w procesy wymiany, tych samych środków, które doprowadziły do wielkiej przewagi wynagrodzenia za produkcję przemysłową w porównaniu z innymi działami pracy. Środki te, to przebudowa systemu podatkowego, polityki kredytowej, odmienna redakcja taryfy celnej. Trudno jednak suponować, ażeby to miało nastąpić. Nieskończenie trudno bowiem uświadomić opinji wierzącej, że handel nie stwarza nowego zatrudnienia, iż polityka dająca przywileje handlowi, ba, nawet poprostu wyrównywująca warunki pracy handlu z warunkami przemysłu, może w drodze odbudowy pośrednictwa handlowego zwiększyć zbyt i zamówienia w przemyśle (rzecz inna, że nieraz zapewne dopiero po szeregu lat).

Przewaga produkcji przemysłowej ma miejsce w dużej mierze również kosztem produkcji rolnej. Okazuje się to wyraźnie w dwóch punktach zetknięcia produkcji rolnych i przemysłowych — przy zakupie wyrobów przemysłowych (gotowych

i surowców) przez rolnictwo i przy sprzedaży surowców rolnych przemysłowi krajowemu. W obydwu sytuacjach rolnictwo, jako niezorganizowany element popytu i podaży spotyka się z przemysłem, ujętym w biura zakupu czy sprzedaży, a często wprost z biurem sprzedaży artykułu skartelizowanego, centralnego dla całego zapotrzebowania krajowego. Prawda, że nikt nie nakazuje rolnikom produkować powszechnie tego samego artykułu (len, buraki cukrowe, ziemniaki przemysłowe) — ale skoro tak się układają naturalne warunki produkcji, rolnik nie powinien być pozbawiony przywileju sprzedaży większości swej produkcji na rynku wewnętrznym, tak, jak nie jest tego przywileju pozbawiony przemysł. Sytuacja pewnych gałęzi produkcji rolniczej jest zresztą podobna do sytuacji tych gałęzi przemysłu które odziedziczyliśmy po zaborcach bez równoczesnego dziedziczenia ich rynków zbytu. Jeśli zatem w motywie zatrudnienia przemysłu włókienniczego znajduje uzasadnienie premjowanie artykułów włókienniczych analogiczne uzasadnienie może znaleźć faworyzowanie produkcji ziemniaków

Motyw zatrudnienia w prymitywnej formie występuje ze znacznie większą jaskrawością, tam, gdzie idzie o wielkie warsztaty przemysłowe niż tam, gdzie idzie o warsztaty średnie i małe. Tu zapewne leży jedno z najważniejszych źródeł stosowania dwóch miar do przemysłu wielkiego i małego. Wielkie cyfry mają swoją wymowę. W rezultacie drobniejsze zakłady przemysłowe kredytów z centralnych banków państwowych nie otrzymują. Że zaś równocześnie są one pozbawione, podobnie jak i rolnictwo, przywileju niskich cen zakupu surowca i wysokich cen scalonej sprzedaży — przemysł drobny zmuszony jest szukać innych specyficznych dróg wyjścia. Jak się kiedyś wyraził p. Wierzbicki, „rodzą się pluskwy". Przemysł średni i drobny przeradza się w chałupnictwo, wegetujące dzięki swej nieuchwytności dla urzędów podatkowych.

Niewątpliwie politykę naszą musimy naginać do motywu zatrudnienia wewnątrz kraju maksymalnej ilości rąk roboczych. Ale należałoby to robić ze zrozumieniem, że nietylko wielki przemysł może dać pracę. Źródła pracy są w Polsce liczniejsze, niż się zdaje na pozór. Należałoby tylko pamiętać, że rezultat doraźny niekoniecznie jest najtrwalszym, a najwidoczniejszy największym.

UWAGI

USTAWA KARTELOWA.

Kardynalnem zagadnieniem w ustawie kartelowej, do którego należy się zasadniczo ustosunkować, jest sprawa karteli przymusowych. Życie przekonało nas o konieczności przymusu kartelowego w pewnych przypadkach; czy przymus ten należy traktować jako wyjątkowe posunięcie, do którego uciekać się można jedynie w zgoła wyjątkowych okolicznościach, czy też jako stały rekwizyt polityki gospodarczej — to zagadnienie stanowi o zachowaniu pozorów liberalizmu względnie o gospodarowaniu związanem.

Zagadnienie przedstawia się nam jako ostra alternatywa. Albo przymus, a wówczas można snuć rozmaite kombinacje cyfrowe na temat kogo przymuszać, jak przymuszać, kiedy przymuszać — można wygrać całą gamę odcieni organizacyjnych, albo też trzeba stawiać sprawę inaczej: nie przymuszać, a wówczas ta alternatywa stoi przed nami w jednej jedynej odmianie.

Brak przymusu nie może być skalowany, ani dozowany.

Z tekstu druku sejmowego Nr. 695 (Rządowy Projekt Ustawy o kartelach) wynika, że Rząd przechyla się obecnie do stanowiska, iż przymusu stosować nie należy. Projekt obecny poza znacznie staranniejszą redakcją, różni się od poprzedniego brakiem pierwotnego par. 19, który normował tworzenie karteli przymusowych.

To jednak nie koniecznie przesądza sprawę nie przymuszania do tworzenia karteli. Można wysnuć jedynie ten wniosek, iż tworzenie karteli przymusowych jest koniecznością tak rzadką, tak wyjątkową, tak poza normalną działalnością Rządu leżącą, że dla dokonania przymusu wskazanym jest za każdym razem oddzielny akt ustawodawczy. Dotychczas w Polsce powstały w drodze przymusu takie kartele jak: węglowy, naftowy, cukrowy.

Liczyć się z tem, tak rzadkiem zjawiskiem, jako normą, niema potrzeby. Gdyby jednakże władze państwowe uznały powstanie nowych, dalszych karteli za pożądane, gdyby ich powstać miało tak dużo, że tworzenie ad hoc oddzielnych ustaw stawałoby zbyt uciążliwem, wówczas jeszcze jest czas na ustawowe ogólne ujęcie tego zagadnienia.

Ostatni Projekt rządowy stara się w tem zagadnieniu zachować formy wskazane przez ekonomję klasyczną.

Nawrotem do klasycznych też jest również wydzielenie Sądu Kartelowego z pod władzy Ministra Przemysłu i Handlu, jak to było w pierwotnym projekcie i związanie go z organami czysto sądowemi. — Ściślejsze rozgraniczenie kompetencyj, wyraźne postawienie Ministra Przemysłu i Handlu w roli strony a nie i strony i sędziego, ułatwi jego rolę i usunie możliwość zbędnych konfliktów.

W tych dwóch wypadkach projekt przeredagowany został w myśl życzeń Izb Przemysłowo-Handlowych.

Inaczej w szeregu innych wypadków. Pozostało kilka paragrafów w niewyraźnej i niedość ścisłej redakcji, nie skreślono z Art. (4 dawnego 7) punktów 3 i 4 (dawn. 3), pozostawiono nadal Ministerstwu Przemysłu i Handlu określenie jakie dane powinien zawierać rejestr kartelowy. Zapewne pierwsze określenie wymagać będzie ko-

tektury życiowej, a że łatwiej zmienić rozporządzenie wykonawcze, aniżeli ustawę, więc ta luka jest słuszną o tyle o ile rozporządzenie też będzie oparte na publicznej dyskusji.

W art. 9 nie przeredagowano ustępu ostatniego i pomimo iż Izby P. H. proponowały zamieszczenie w ustępie art. 9 obok tekstu obecnego („Dane uzyskane, na tej podstawie, nie mogą być użyte do innych celów, prócz przewidzianych ustawą niniejszą“) wyraźnej wzmianki, że dane rejestru nie mogą być użyte do celów podatkowych, co zaspokoiłoby strony a dodało ustawie jasności.

Takich drobiazgów, które należałoby, albo które możnaby zmienić, jest dość dużo. Za kilka lat zobaczymy ich jeszcze więcej. Zasadniczo jednak powiedzieć można o ustawie, iż jest skromna i powściągliwa. Skromna, bo ogranicza się wyłącznie do ustosunkowania do tego co jest i do ustosunkowania w tych sprawach, w których, jak życie wykazało, ingerencja stać się może nieunikniona. Powściągliwa, bo nie porusza ani zagadnienia karteli przymusowych, ani monopoli prywatnych, na których działalność rząd, pomimo tej ustawy, nie będzie mógł ingerować; powściągliwa wreszcie, bo pominęła projektowaną pierwotnie Radę Kartelową. Po doświadczeniach z Radą Spółdzielczą może to i lepiej.

Ustawy jeszcze niema: już ją krytykuję. Ciekawym co z nią zrobi życie?

S.

POTRZEBY I ŚRODKI.

„Przymusu szkolnego, podobnie jak powszechnego głosowania, nie można znieść z chwilą, kiedy raz został wprowadzony“. Istotnie, znieść nie można, ale można praktyczne wykonanie zracjonalizować, można zawiesić w praktyce przeprowadzenie przymusu, tak, jak się to zresztą w wielu miejscowościach Rzeczypospolitej w rzeczywistości dzieje. Jak i co należałoby zrobić, to już kwestja specjalistów od spraw szkolnych. Czy i *dlaczego* natomiast, to kwestja, której nie mogą decydować ludzie szkoły, lecz jedynie znawcy życia społecznego, politycy, budżetowcy, a przedewszystkiem ekonomiści.

Dotychczas sprawa polityki szkolnej była bezmała wyłącznie w rękach ludzi szkoły. Ministerstwo Oświaty w ramach budżetu, okrojonego w globalnej sumie przez Min. Skarbu, dysponowało środkami pieniężnemi w gruncie rzeczy w dużym stopniu według własnego uznania. Zresztą nietylko w ramach budżetu. Fundusze szkolnictwa w pewnym, niezbyt zresztą wielkim stopniu, opierały się również i na środkach pozabudżetowych: na funduszach specjalnych na budowę szkół, funduszach uzyskiwanych w drodze specjalnych opłat celowych, i na dopłatach samorządów. Jeżeli pominąć sprawę tych funduszów, pozornie wydawaćby się mogło, że sytuacja jest, zgrubsza biorąc, normalna i prawidłowa. Czynniki gospodarcze określają globalną sumę wydatków na oświatę, czynniki fachowe rozdzielają uzyskane sumy według kryterjów fachowych. Ośmielimy się jednak twierdzić, że w rzeczywistości jest inaczej. Że u podłoża polityki czynników fachowych tkwi błędne założenie, błędna supozycja ekonomiczna. W ciągu szeregu lat czynniki szkolne żyły i żyją przekonaniem, że koniec końcem pieniądze na oświatę się znajdą, że ograniczenia budżetowe są rzeczą przejściową, że można wszczynać akcję oświatową o zakroju szerszym, niż na to pozwala *dzisiejszy* budżet, bo *jutrzejszy* musi przynieść zwiększenie asygnowań na cele oświatowe. Nawet kryzysowe redukcje budżetu oświaty nie zmieniły tego nastawienia. Przeciwnie, piszący te słowa miał sposobność usłyszeć z ust pewnego wyższego urzędnika oświatowego, że „przecież kiedy minie kryzys, budżet oświaty wzrośnie o tyle, że byłoby nieuzasadnione dziś sprowadzać szkolnictwo na stopę głodową“.

Na tej trwałej i ustawicznej nadziei, że środki na cele szkolne zostaną w niedługim stosunkowo czasie wydatnie zwiększone, oparta została polityka rozbudowy szkolnictwa. Stworzono sieć nauczycieli bez szkół, bo „w tym roku pieniędzy na budowę szkół niema, ale niedługo pieniądze się znajdą, a tymczasem stworzymy prowizorjum“. Jeżeli budowano szkoły, to budowano je kosztem nieproporcjonalnym do bieżącego budżetu, bo przecież kiedyś, niedługo, ten budżet wzrośnie“ itd., itd. Na tem tle wytworzyła się sytuacja panująca w szkolnictwie kresów wschodnich i niektórych części kongresówki. Szkoły mieszczą się w takich warunkach, że lekarz szkolny uważa za sukces usunięcie z izb szkolnych beczek z kapustą. I tenże lekarz stwierdzić musi z goryczą, że szkoła staje się rozsadnikiem gruźlicy. Nauczyciel mieszka tak, że sypiać musi z chłopami na piecu (fakt autentyczny). W wielu miejscowościach siedmio i ośmioletnie dzieci idą do szkoły pięć lub sześć kilometrów. Na nauczyciela przypada taka ilość dzieci, która wyklucza nietylko przejście programu szkolnego, ale wręcz nauczenie pisać i czytać tak, ażeby istniała najmniejsza chociażby szansa, że dziecko nie stanie się po roku z powrotem analfabetą. „Dziecko uważa szkołę za męczarnie, a chłop za instytucję wrogą“. Paradoksalny kontrast kilku czy kilkunastu szkół wzorowych w Warszawie i kilkudziesięciu luksusowych budynków szkolnych na prowincji z przeciętnym typem szkoły kresowej daje się usprawiedliwić jedynie wiarą organów szkolnych w możliwość szybkiego powiększenia budżetu szkolnictwa.

W tych warunkach koniecznem się staje podkreślenie z całą jaskrawością, że nie istnieją szanse na to, ażeby budżet szkolny miał uledz wydatniejszemu wzrostowi w okresie czasu, jaki można obejmować przewidywaniem. Jeśli chodzi o kwestje konjunkturalne, to można już uważać za uzgodniony pogląd większości ekonomistów, że koniec kryzysu nie będzie oznaczał nawrotu inflacyjnej prosperity lat powojennych, że poprawa będzie niesłychanie powolną i stosunkowo niewielka. Abstrahując od kwestji konjunkturalnych dochodzimy do tego samego rezultatu. Przy malejącym dochodzie na głowę nie sposób jest przewidywać w Polsce znaczniejszego wzrostu środków publicznych. Wewnątrz zaś budżetu, budżetu w tak dużym stopniu o charakterze konsumcyjnym, niema pozycji, kosztem których możnaby dokonać

virement na korzyść oświaty. Podstawą polityki szkolnej powinna się stać świadomość, że jeśli budżet obecny jest budżetem głodowym, to równie głodowemi budżetami będą budżety oświaty w ciągu szeregu lat najbliższych. I dlatego niemożliwe jest prowadzenie polityki stwarzania prowizorjów, skoro widocznem jest, że prowizorja te musiałyby trwać latami.

Jeśli szkolnictwo powszechne nie ma stwarzać fikcji oświaty, to warunki, w których odbywa się nauczanie (budynek szkolny, mieszkanie nauczyciela, pomoce szkolne, podręczniki, ilość dzieci na jednostkę przestrzeni w klasie i na nauczyciela), nie mogą schodzić poniżej pewnego minimum. Iloraz budżetu szkolnictwa powszechnego przez sumę złotówek potrzebnych dla zapewnienia jednemu uczniowi tego rodzaju minimalnych warunków, porównany z ilością dzieci w wieku szkolnym, wskazałby nam, jaki zasięg nauczania powszechnego jest możliwy, czy możliwa jest realizacja przymusu szkolnego. Jeżeli nie, a zdaje się że tak właśnie wypadłaby odpowiedź, to należałoby wyciągnąć stąd wnioski praktyczne, w postaci częściowego praktycznego zawieszenia przymusu szkolnego. W każdym zaś razie na tle ograniczonych możliwości zwiększania budżetu oświatowego musi być dokonany wybór pomiędzy typem szkoły „wzorowej“ dla nielicznych, a najskromniejszej dla wszystkich. Szlachetna ambicja kół oświatowych ambicja stworzenia szkół wyższego typu dla wszystkich, niestety pozostaje w rażącej sprzeczności z tem, z czem nie chcą się koła szkolne pogodzić: z niemożliwością zwiększenia budżetu oświaty.

c. k.

BILANS PRACY.

Polska znajduje się w tem szczęśliwem położeniu, że gdyby była izolowaną wyspą, mogłaby nawet stanowić niemal autarkiczny obszar gospodarczy. Jednakże nie jesteśmy izolowani i bynajmniej izolacja taka nie potrzebuje i nie powinna być naszym dążeniem lub ideałem. Niemniej stosunki gospodarcze między Polską a zagranicą muszą być regulowane w ten sposób, by nasza Rzeczpospolita nie poniosła szkód niepowetowanych przy dalszym rozwoju wypadków na przełomie dwóch epok gospodarczych.

Wprowadzenie nowej taryfy celnej i łącznie z tem wypowiedzenie kolejne niemal wszystkich umów handlowych stawia nas dziś w położenie dostatecznie swobodne, by módz ułożyć odpowiedni plan postępowania i uniknąć szeregu komplikacyj.

Dotychczasowym głównym motywem gospodarczym w rokowaniach o traktat handlowy był bilans płatniczy. W Polsce pokrywał się bilans płatniczy naogół z bilansem handlowym. Obecnie już to nie wystarczy.

Obecnie czas najwyższy zacząć w rokowaniach handlowych myśleć również i *o bilansie pracy*. Stosunki handlowe opłacane kosztem wzrostu bezrobocia stają się jeszcze jednym powodem destrukcji gospodarczej. Jeżeli wpuszczamy do Polski towary, których przywóz pozbawi pracy lub możności pracy realnie widocznej kilkadziesiąt tysięcy obywateli Rzeczypospolitej, to musimy domagać się ekwiwalentu w wywozie nie tylko takiej samej wartości pieniężnej, ale i takiej samej ilości pracy. Jako przykład pod ręką podam np. zagadnienie wywozu polskiej benzyny i nafty do Czechosłowacji kosztem przywozu gotowego obuwia lub skór, jak to swego czasu zrobiono. Bilans taki się nie równoważy pod względem pracy Czechosłowacja byłaby chętnie przyjęła ropę naftową. Nam szło jednak o zatrudnienie rafinerji. Ogół polskich rafinerji jednak zatrudnia zaledwie 4000 ludzi. Wpuszczono na rynek towar taki, jak obuwie, w którego produkcji czynnych jest ponad 100.000 ludzi. Benzyna i nafta są najłatwiej destylującemi frakcjami ropy naftowej, aparatura destylacyjna potrzebna dla przerobu tych ilości, jakie sprzedajemy Czechom, nie wymaga większej obsługi, jak conajwyżej kilkuset ludzi. Zamiast zarobić, społecznie, ponieśliśmy stratę.

Mamy tu znowu, aczkolwiek pośrednio, problem wypierania pracy ludzkiej przez maszynową. Polska jest technicznie zacofaną w metodach produkcji obuwia i dlatego zatrudnia bodaj 15 — 20 razy tyle ludzi, jak potrzeba dla nowoczesnej mechanicznej roboty. Niemniej kwestja zacofania technicznego na jakimś odcinku nie upoważnia do wyrzucania ludzi na bruk przed zapewnieniem im szansy na inne zajęcie lub na emigrację.

Podobny brak równowagi istnieje przy wywozie np. drzewa za np. gotowe tkaniny wełniane, wwożone do Polski, przy wywozie węgla po bajecznie zniżonej cenie wzamian za wwóz wykonanych wyrobów metalowych, gdzie zagranica bije nas często tylko różnicą ceny węgla polskiego na rynku wewnętrznym i zagranicznym. Przykładów takich można by mnożyć nieskończenie wiele. Może się okazać, że opłaci się w bilansie pracy i wartości zgasić niektóre wysokie piece, a nawet i zamknąć niektóre stalownie, wzamian za ożywienie przetwórczego przemysłu metalowego, a nawet zrezygnować z wywozu tak prostych stosunkowo wyrobów, jak szyny kolejowe.

Są to rozważania, których na oko nie sposób sprawdzić. Może podane przykłady w niektórych wypadkach nie wytrzymają krytyki cyfr. Rozchodzi się o postawienie zagadnienia. W okresie, w którym metalowy przemysł górnośląski pośrednio został uzależniony pod wpływem rządu niemieckiego, nabywającego akcje Flicka, w którym finansowanie rozlicznych naszych przemysłów i handlu wwozowego uzależnione jest w znacznym stopniu od rządu niemieckiego, który zdobył decydujące wpływy na niemieckie D-banki, musimy sobie powiedzieć, że walka o przerzucanie bezrobocia z kraju na kraj rozgorzała na dobre. Obowiązkiem naszym jest bronić się przed narzucaniem na Polskę bezrobocia niemieckiego, angielskiego lub nawet drobnego czeskiego. Jak jednak możemy się bronić, nie znając wzajemnej korelacji czynnika pracy w poszczególnych towarach? Jak zdołamy sobie wyrobić obraz o bilansie pracy, kiedy to zagadnienie dla nas jest zupełnie nowe? Nie wiemy, ile pracy tkwi w samych procesach produkcji, w transporcie, składowaniu, pośrednictwie, co w tem

jest anachronizmem, narzucającym nam obowiązek reformy, z równoczesnem szukaniem nowej pracy dla ludzi tu zbędnych, a co odpowiada najwyższej technice gospodarczej. Nim dojdziemy do jako tako ogólnego obrazu, upłynie sporo czasu Będzie to musiała być praca samodzielna, bo brak nawet wzorów zagranicznych, a są tylko zalążki podobnych badań. *Władysław Diamand.*

ZASTRZEŻENIA.

W artykule p. t. „Co nas dzieli i łączy ze Szkołą Krakowską"[1]) usiłował p. A. K. Ivanka dać syntezę poglądów ekonomicznych grupy, której ośrodkiem jest „Gospodarka Narodowa". Zadanie trudne, skoro zważyć, że grupowaliśmy się raczej na podstawie wspólnych zainteresowań i wspólnych metod, niż na podstawie wspólnej ideologji. Jakkolwiek synteza jest ostrożna i dokonana możliwie objektywnie, nasunęła mi jednak pewne zastrzeżenia, które pomimo osobistego charakteru podpisanego wszak indywidualnie przez p. Ivankę artykułu, uważam za słuszne zaznaczyć, by uniknąć ewentualnych nieporozumień w przyszłości.

Pierwsze zastrzeżenie dotyczy raczej strony ilościowej, wagi nadawanej tym lub innym poglądom, niż samej ich treści. Nie wydaje mi się mianowicie pewne, jakoby krytyka rzeczywistości była jedynie „zadaniem ubocznem" naszego pisma. Wprawdzie niepodobna zaprzeczyć, że krytyka staje się konieczna „tylko wtedy, gdy jaskrawość zjawiska tego wymaga", ale życie dziś obfituje nietylko w Polsce, w tyle zjawisk jaskrawych, wymagających rzeczowej krytyki, że usprawiedliwiałaby ona istnienie nawet paru pism specjalnych. Krytyka jest też, obok wysuwania projektów, niemniej pozytywną częścią pracy w kierunku ustalania przesłanek programowych.

Druga wątpliwość dotyczy następującego zdania: „Działalność Państwa na płaszczyźnie formy wczesnokapitalistycznej (np. tworzenie przymusowego związku eksporterów pierza i puchu), wydaje się nam całkowicie zrozumiałą i uzasadnioną, tak, jak jednak był uzasadnionym merkantylizm w XVII wieku w państwach Europy Zachodniej". Nie podejmuję zagadnienia, w jakim stopniu merkantylizm w XVII w. był usprawiedliwiony, natomiast tworzenie przymusowego związku eksporterów pierza i puchu i innych podobnych związków uważam za nieusprawiedliwione monopolizowanie zakupu z krzywdą niemogących się zorganizować producentów. Naogół zaś nietylko nie wydaje mi się oczywiste większe usprawiedliwienie organizowania interwencyjnego elementów wczesnokapitalistycznych od innych, ale raczej usprawiedliwienie dla interwencji widzę tam, gdzie automatyzm zjawisk już przestał sprawnie funkcjonować. t. j. w grupne późnego kapitalizmu, co do której Autor stanowiska nie zajmuje.

Pewien kłopot sprawiło mi postawione zagadnienie: „Planowanie czy laissez-faire'yzm". Tyle się bowiem na ten temat mówi i pisze, a jednak to kryterjum podziału ekonomistów chyba nie działa sprawnie. Bo już piszący te słowa uważa za utopję zarówno laissez-faire'yzm, jak i gospodarstwo planowe, a po przeczytaniu omawianego artykułu, również nie zrozumiałem, po której stronie Autor widzi grupę „Gospodarki".

Ostatnie zastrzeżenie, to teza, że program gospodarczy pojmujemy jako program „statyczny". Czytelnik, któryby zapomniał szczegółowsze wyjaśnienie terminologji p. Ivanki, zawarte w artykule p. t. „Program gospodarczy w Polsce"[2]), wpadłby w zdumienie, bo naprawdę chyba niema ekonomisty, któryby w dzisiejszych czasach wierzył w możność istnienia programu oderwanego od dynamiki zjawisk. *J. Poniatowski.*

[1]) „Gospodarka Narodowa" nr. 3 z 1933 r. —

[2]) „Gosp. Nar." Nr. 16 — 18 z 1932 r.

CZESŁAW BOBROWSKI

PIATILETKA Z PERSPEKTYWY

O rezultatach i przebiegu pierwszej pięciolatki zdecydowały, nietylko objektywne warunki gospodarcze, co momenty subjektywne, w znacznej mierze psychologiczne: tradycyjna inercyjność ludności z jednej a dynamika nowego mitu społecznego z drugiej strony.

Reakcja opinji zarówno rosyjskiej jak i zagranicznej, jaka w swoim czasie nastąpiła w związku z ogłoszeniem planu pięcioletniego wskazuje, że plan ten wydawał się wówczas probierzem możliwości i sprawności ustroju komunistycznego. Wystarczy przypomnieć sobie, co pisała prasa zachodnio-europejska. Ton ogólny był mniejwięcej taki: oczywiście piatiletka nie może się udać, ale gdyby się udała, to dla świata kapitalistycznego będzie to oznaczało cios prawie, że śmiertelny. Nic dziwnego, że tak sądzono, aczkolwiek było to zupełnie niesłuszne. Bądź co bądź plan pięcioletni był ewenementem. Rzecz inna, że nie był on nowością dla badaczy stosunków rosyjskich. Tendencje, które ukształtowały plan, uwydatniły się już w trzecim roku NEP-u, a więc na dobre parę lat przed ogłoszeniem piatiletki. Więcej nawet, tendencje te w niejednem nawiązywały do historji Rosji kapitalistycznej, Rosji carskiej, gdzie również polityka przyśpieszania procesu uprzemysłowienia była na szeroką skalę stosowana, ba, korzenie ich tkwiły jeszcze głębiej, w instynktownej, odwiecznej emulacji narodu rosyjskiego z Zachodem. To też nie sama tendencja planu, lecz zakres, rozmach projektów, jednych porywał, u drugich budził zastrzeżenia. Nic dziwnego, bo prze-

cież plan ten (powtarzam: nie pod względem kierunku, lecz skali), był od czasów wojennego komunizmu pierwszem poczynaniem Sowietów w dziedzinie gospodarczej, które zasługiwało nietylko na nazwę śmiałego, ale nawet olbrzymiego. Rzecz inna, że już wtedy przy ściślejszem badaniu należało odrzucić myśl, jakoby udanie się czy nieudanie planu miało stanowić „probierz". Już wtedy należało właściwie wiedzieć, że jednostronne nastawienie planu na rozbudowę ciężkiego przemysłu wyklucza możliwość podniesienia konsumcji i stopy życiowej, że w planie nie doceniono problemu rolnictwa, i że z drugiej strony zawrotne tempo rozwoju zaprojektowane dla rozbudowy przemysłu, w zestawieniu nie z krajami wysoko - kapitalistycznemi, lecz dajmy na to z krajami poza europejskiemi, a choćby z Rosją lat dziewięćsetnych, — nie wygląda już tak zawrotnie, i t. d. Inaczej mówiąc, już wtedy należało sprowadzić sprawę do granic właściwych, a nie doszukiwać się w niej odpowiedzi na temat możności czy niemożności urzeczywistnienia gospodarki planowej.

Okres piatiletki zredukowany do lat czterech zakończył się. Zakończył się w sposób nieoczekiwany. Każda ze stron ma prawo podtrzymywać swoje tezy. Rezultat pozwala wszystkim twierdzić, że właśnie tego oczekiwali, mimo, że nie ulega wątpliwości, że rezultat nie odpowiada niczyim oczekiwaniom. Jeżeli miało się w swoim czasie ostrożność powstrzymać od wróżb na ile piatiletka może się udać, a przedewszystkiem powstrzymać od wzięcia udziału w dyskusji „na tematy zasadnicze", można dzisiaj z dużą satysfakcją obserwować tych, których wypadki wyprowadziły w pole. Idzie przedewszystkiem o to, że nie sposób jest odpowiedzieć na pytanie, czy piatiletka się udała, to znaczy czy została wykonana. I tak i nie. W pewnych dziedzinach tak, nawet z nadwyżką. W innych nie. Summa summarum powstał układ gospodarczy odmienny, od zaprojektowanego planem, ale też bardzo odmienny od istniejącego w momencie formułowania planu. W każdym razie Rosja zrobiła kolosalny krok w kierunku wytkniętym przez plan, to znaczy w kierunku uprzemysłowienia. Ale z drugiej strony krok ten odbył się takim kosztem, o jakim w piatiletce mowy nie było, zarówno dosłownie, jak i w szerszem znaczeniu.

Dlaczego sprawa rozwiązała się w ten właśnie sposób, dlaczego tam, gdzie napozór tertium non datur, znalazło się to trzecie rozwiązanie? Bardzo prędko po ogłoszeniu planu, plan został zmieniony, a następnie de facto przekreślony. Plan zbudowany został na zasadzie określonej koncepcji wzajemnego ustosunkowania się poszczególnych gałęzi życia gospodarczego i ich rozwoju między sobą. Mówiąc prościej, plan stanowił w zasadzie harmonijną koncepcję całości. Mogły istnieć w nim błędy, mogły istnieć faktyczne dysharmonje, które ujawniłyby się w toku wykonywania planu i narzuciły konieczność jego rewizji. Tem niemniej zasadą planu była współzależność poszczególnych jego elementów. W bardzo krótkim, jak wspomnieliśmy wyżej, czasie, miejsce dawnej koncepcji zajęła nowa. W związku przedewszystkiem z nowym kursem polityki rolnej i jego nieoczekiwanemi rezultatami w postaci żywej fali kolektywizacyjnej, trzeba było przebudować plan odnośnie rolnictwa i wszystkich gałęzi produkcji przemysłowej, z rolnictwem związanych. Osiągnięte w dziedzinie rozbudowy przemysłu sukcesy zrodziły nowe ambicje — l'appétit vient en mangeant. Jednocześnie z tem trudności na niektórych odcinkach okazały się nadspodziewanie duże. Na tem tle zrodziła się tak zwana teorja potrzeb, zrodziła się i odniosła zwycięstwo nad „teorją możliwości". Plan przestał być pojmowany jako harmonijna koncepcja całości, a przybrał charakter zespołu dyrektyw, „rozkazów bojowych", które powinny być wykonywane bez oglądania się na sytuację sąsiednich odcinków frontu gospodarczego. W myśl tej zasady odbywało się konstruowanie konkretnych planów rocznych.

Tyle co do planowania. Ale pozostała jeszcze kwestja wykonania planów. Właściwie ten termin jest niesłuszny. Skoro plan obejmuje całokształt życia gospodarczego, to niema oczywiście jakiejś specyficznej funkcji „wykonywania planu". Wykonywaniem planu jest wszystko, co się dzieje. Mówiąc o wykonaniu mamy na myśli inne, poza planem, czynniki, które wpływały na kształtowanie się życia gospodarczego. Zakres tych czynników, a więc przedewszystkiem zjawisk automatyzmu gospodarczego, jest w Rosji wcale szeroki. Ale nie o automatyzm nam chodzi. Gdyby sprawa wykonania planu przedstawiała się tylko, jako średnia wypadkowa pomiędzy dyrektywą planowa, a kierunkiem wyznaczanym przez żywioł gospodarczy, to *rezultat* procesu może i nie odbiegał by tak bardzo od obecnego, ale *przebieg* jego byłby zupełnie odmienny. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Sprawy, która nie ma zresztą bynajmniej charakteru jedynie akademickiego, bowiem to, *w jaki* sposób osiągnęło się pewien rezultat, musi być uwzględniane przy jego ocenie.

Dla zrozumienia tej sprawy musimy wkroczyć na teren poza gospodarczy. Ogłoszenie planu stało się bodźcem dla ożywienia energji szerokiej elity sowieckiej. Plan był konkretną — nareszcie — formą nowego mitu społecznego, wskazywał wyraźne drogi do socjalizmu i określał czas marszu. Wokół idei piatiletki zgrupował się zapał i nadzieje najbardziej aktywnej części społeczeństwa rosyjskiego. To już pierwsza, niewątpliwie zasadnicza różnica z warunkami, w jakich odbywa się realizowanie planu, ustanowionego dajmy na to przez jakiś kartel. Ale jest jeszcze druga różnica, tym razem na niekorzyść planowania sowieckiego. Plan opracowany przez kartel wykonywa personel, odpowiednio do tego wybrany. Jeżeli personel nie nadaje się do tego, to się go zmienia. W Rosji realizowanie planu odbywało się z personelem przymusowym. Zakres możliwych zmian ograniczał się do sprowadzenia kilkunastu, w najlepszym razie kilkudziesięciu tysięcy cudzoziemców i wysłania na północ tyluż czy nieco więcej obywateli własnych. Wpraktyce ta przymusowość personelu o tyle musiała prowadzić do sytuacji trudnej, że zadania stawiane personelowi znacznie przekraczały jego możliwości. Nie chodzi tu jedynie o brak kwalifikacyj technicznych, ta rzecz jest jeszcze stosunko-

wo łatwiejsza do usunięcia. Chodzi natomiast o to, że „personel piatiletki“ nie posiadał tradycji gospodarczości, tradycji intensywnej, systematycznej pracy.

W tych warunkach trudno się dziwić, że rząd sowiecki nie chciał powierzyć losów piatiletki niebezpiecznym fluktom automatycznego, normalnego wykonywania planu przez aparat administracyjny. Jak się zdaje, w bardzo prędkim czasie rząd sowiecki powziął votum nieufności dla zdolności gospodarczych człowieka rosyjskiego. I dlatego nie tylko na poszczególnych odcinkach wytwórczości znalazły zastosowanie szturmowe brygady. Całą partję, ba, całe społeczeństwo starano się przemienić na brygadę szturmową. Całe wykonanie planu oparto bądź na umiejętnie hodowanym i starannie podsycanym entuzjaźmie, bądź na niemniej umiejętnie stosowanym strachu. Nastąpiło a fortiori to, co widzieliśmy już w sprawie modyfikowania planu. Gospodarka planowa przekształciła się w kampanję o plan. Życie Rosji przybrało ponownie jak w czasach wojennego komunizmu, charakter ustawicznej walki, ustawicznego wysiłku, „wysokiego napięcia“. Jak zdefinjować tę walkę? Jeśli nie ograniczać się do formy, zjawisk, lecz sięgnąć do ich — w tym wypadku pozagospodarczej — treści, to jest to poprostu walka energji wyzwolonej przez nowy mit społeczny z tradycyjnie zakorzenioną inercyjnością. Retrospektywne spojrzenie na okres piatiletki wysuwa na plan pierwszy ten właśnie proces, a nie procesy o charakterze ściśle gospodarczym. I dlatego właśnie rezultat piatiletki przedstawia się w sposób tak specyficzny i dlatego właśnie z osiągnięcia tego czy innego rezultatu nie można wysnuwać żadnych wniosków generalnych odnośnie gospodarki planowej. Gospodarka sowiecka w okresie piatiletki w istocie rzeczy była przedewszystkiem gospodarką rewolucyjną, a potem dopiero gospodarką planową. Losy piatiletki dają więcej materjału dla rozważań socjologicznych niż gospodarczych.

NOTATKI

FENOMEN NATURY.

Kto jest takim fenomenem? Ktoś o wiele poważniejszy, niż by się to na oko zdawało. A mianowicie — ni mniej ni więcej, tylko... Polska... I to z niebylejakiego punktu widzenia. A mianowicie — z punktu widzenia międzynarodowej sytuacji pieniężnej. Fakt niezbity: prosimy się przekonać.

W Genewie komitet rzeczoznawców przygotował program konferencji światowej w sprawach ekonomicznych i monetarnych. I to program, opatrzony „adnotacjami“, mającemi odzwierciadlać „communis opinio doctorum“ na szczytowe zagadnienia gospodarcze i finansowe naszego kryzysowego świata. Zaraz na wstępie, kiedy mówi się o warunkach, w jakich mógłby świat powrócić do powszechnej, międzynarodowej i t. d. i t. d. waluty złotej (co jest, rzecz prosta, fundamentem dezyderatów pp. ekspertów), banki emisyjne otrzymują od aeropagu genewskiego wskazówki, jak mają postępować, aby ów upragniony powrót do „gold standartu“ przyśpieszyć Oczywiście, w dzisiejszym zamęcie, kiedy sytuacje poszczególnych krajów różnią się w dziedzinie pieniężnej od siebie nawzajem b. znacznie, nie sposób dać było jednolitej dyrektywy dla wszystkich. Podzielono więc hurtem państwa świata na trzy grupy, udzielając każdej z nich innych wskazówek. Pierwsza — to „kraje posiadające walutę złotą. działającą swobodnie, i posiadające ponadto obfite rezerwy pieniężne“. Druga — to kraje, które odeszły od waluty złotej. Trzecia wreszcie — to te, które wprowadziły ograniczenia dewizowe, i to bez względu na to czy odeszły od waluty złotej czy też nie. Dla każdej grupy, jak wspomnieliśmy, zalecenia są inne. Ta pierwsza ma prowadzić liberalną politykę kredytową, w miarę możności „open market policy“. zezwalać na wywóz złota i kapitałów. Druga — nie obniżać dalej kursu waluty dla celów konkurencji eksportowej i wogóle ograniczać wahania kursowe swego pieniądza. Trzecia — porzucać stopniowo ogranicznia dewizowe i t. d. i t. d. Słowem — elementarz dla banków emisyjnych...

Zachodzi teraz pytanie: w której grupie jest Polska?

Mamy walutę złotą właściwie dewizowo-złotą, — i to funkcjonującą swobodnie. Ale rezerw nie mamy. O liberalnej polityce kredytowej — mowy niema. O wywozie kapitałów? Lepiej nie wspominać... Może jeszcze „open market policy“, jak to robia Stany Zjednoczone?... Niechbyśmy spróbowali tylko... Nie — zalecenia dla pierwszej grupy stanowczo nie są dla nas. Ale w takim razie nie mamy się gdzie w zaleceniach pp. ekspertów podziać. Nie rzuciliśmy waluty złotej — i nie mamy ograniczeń dewizowych. A więc ani druga ani trzecia grupa — również nie dla nas...

Krótko mówiąc: fenomen natury. Państwo, które stanowi wyjątek międzynarodowy. A, co najważniejsze, że — zastanówmy się tylko — a zobaczymy, że jest tak istotnie. Czy z tego punktu widzenia nie warto byłoby pomyśleć o kryzysie polskim na tle kryzysu międzynarodowego?

x

KTO ZNA WARSZAWĘ?

W oklepanem powiedzeniu, że „Polacy są Francuzami północy“ mieści się znacznie więcej kłamstwa, niż prawdy. Tak np. w zakresie znajomości geografji ani Polacy Francuzów, ani Francuzi Polaków zupełnie nie przypominają. Przeciętny, typowy, normalny Francuz nie odróżnia Galicji od Cylicji lub przypuszcza, że w Austrji (Autriche) hoduje się strusie (autruche), natomiast umie wyliczyć z pamięci wszystkie departamenty Francji, ich nazwy i nazwy siedzib prefektów zna dokładnie historję swego miasta, powiatu i depar-

tamentu, świetnie rozumie potrzeby regjonalne, doskonale jest zorjentowany w interesach swego własnego partykularza. Tymczasem Polak czuje się w Europie, jak u siebie w domu, pamięta, gdzie kto kogo pobił i co z tego wynikło, zabiera głos w każdej politycznej i gospodarczej sprawie europejskiej, zato sprawy jego rodzimego miasta lub powiatu są mu obce i niemiłe.

Być może, przesadzam w tem porównaniu. Bezwątpienia przykłady Wilna, Krakowa i paru jeszcze miast o dużym rozkwicie regjonalizmu świadczyłyby przeciwko mnie, aczkolwiek regjonalizm miejski obchodzi, jak dotąd, tylko szczupłe grono inteligencji, żeby nie powiedzieć: specjalistów. Nikt mi natomiast nie zaprzeczy, że znajomość Warszawy jest u normalnego warszawianina poniżej przeciętnego dla całej Polski poziomu.

O stolicy najmniej wiedzą sami jej mieszkańcy. I to nietylko o pamiątkach historycznych, rozrzuconych jak rodzynki w zakalcu architektury najbardziej bezmyślnej i banalnej XIX i XX stulecia; nietylko o przeszłości dziejowej miasta, położonego wyjątkowo korzystnie, a nie umiejącego wyzyskać tej struktury geograficzno - komunikacyjnej. Warszawianin nie zna nawet Warszawy *dzisiejszej,* nie zna życia miasta o miljonowem zaludnieniu, ni zna jgo warunków i tendencyj rozwoju, potrzeb, możliwości i sposobów ich zaspokojenia, struktury ludnościowej, podłoża ekonomicznego, gospodarki i podstaw, na których się ona opiera itd., itd. Jest przekonany, że go miasto okrada, ale nie umie tego udowodnić; narzeka na Magistrat bez względu na to, kto jest istotnym winowajcą, ale nie potrafi wskazać środków zaradczych; jednym tchem toleruje marnotrawstwo sił i środków na osławionych robotach magistrackich i sprzeciwia się najbardziej racjonalnym podatkom miejskim.

Jacy mieszkańcy — tacy ławnicy, i rajcowie. Radny miejski pamięta o interesach grupy, która go wysłała, ławnik liczy się z ambicjami odpowiednich związków zawodowych, do których wstęp otwiera — powiedzmy grzecznie — prowizja, a rozparcelowane pomiędzy te i owe „kartele" miasto nie żyje swojem własnem, ponadkartelowem życiem. Nie są doceniane naturalne a rozbieżne warunki i potrzeby przedmieść, dążących — słusznie — do emancypacji, nie są brane pod uwagę tendencje rozwojowe tak wielkiego kompleksu zjawisk socjalnych i gospodarczych, jakim jest stolica, nie są skoordynowane wysiłki poszczególnych działów gospodarki miejskiej, a ponad politykę „karteli" nie wyrasta polityka komunalna, czerpiąca natchnienie z faktów i cyfr.

Dla reformy tych stosunków nie wystarczy tylko reforma samorządu od strony ustawy czy od strony nowych wyborów. Musi również zmienić się stosunek obywatela do miasta, które zamieszkuje i któremu płaci podatki, jak i stosunek władz miejskich do obywateli i potrzeb — miasta. Nie przesądzając całości zmian, które dokonane być muszą, pragnąłbym zwrócić uwagę na dwa sposoby zbliżenia ludności ze stolica i związania ich wzajemnie. Jeden polegałby na stworzeniu regjonalnych rad i wydziałów, które—jak tego dowodzi praktyka licznych stowarzyszeń „przyjaciół" czy „miłośników" przedmieść—byłyby zdolne wznieść się ponad interesy „kartelowe", wczuć się w potrzeby mieszkańców i skierować ich zainteresowania w kierunku potrzeb zbiorowości; jasne jest przytem, że realne, drobiazgowe zainteresowanie zbiorowością jest odwrotnie proporcjonalnie do wielkości tej ostatniej. Drugi sposób — to popularyzacja życia stolicy w najważniejszych jego przejawach. Nie wystarczą tutaj odczyty i wycieczki miejskie, już istniejące, ani propaganda w prasie i na filmie, którą należałoby podjąć. Potrzebny jest jeszcze krok w rodzaju konkursu B. G. K. na program gospodarczy Polski: tutaj chodziłoby o *program gospodarczy stolicy.* Sądzę, że czytelnik rozumie, o co mi chodzi. Doświadczenia konkursu B. G. K. mówią, że do napisania programu czy planu działania niezbędna jest przedewszystkiem dobra znajomość warunków strukturalnych zbiorowości, której ma być poświęcony program. Tej znajomości — jeśli chodzi o stolicę — nie posiada u nas nietylko przeciętny warszawianin i jego przedstawiciel w radzie i magistracie, ale nawet przeciętny ekonomista, któremu łatwiej pisać o podłożu aneksji Mandżurji, aniżeli o wysokości i rozkładzie podatków miejskich. Dla tych ostatnich ludzi, a może też i dla poprzednich — warto ogłosić konkurs. Co szkodzi spróbować?...

k. b.

Z. A. S. P. I INNE LITERY.

Z. A. S. P., Związek A. B. C., Liga D. E. F., Stowarzyszenie G. H. I., Organizacja J. K. L.

To nie rejestr stowarzyszeń — to rejestr handlowy. To nie organizacje społeczne — to przedsiębiorcy. A właściwie to rezultat osmozy rejestru stowarzyszeń z rejestrem handlowym, rezultat przedsiębiorczości zarządów związków i stowarzyszeń. Firma X.Y.Z. spółka z ograniczoną odpowiedzialnością; zakres pracy, — import towarów zakazanych do przywozu; udziały w rękach — powszechnie szanowanego związku. Hurtownia tytoniowa w P..sku — prowadzi powszechnie znane stowarzyszenie... Fabryka tutek papierosowych marki „Fruwaj" — właściciel potężna organizacja, licząca tysiące członków. Przedsiębiorstwo teatralne — właściciel — związek aktorski. Itd. Itd. Piszącemu te słowa znane jest około 20 przedsiębiorstw, stanowiących zaprzeczenie poglądu o rzekomym braku przedsiębiorczości i zmysłu organizacyjnego wśród Polaków. Zapewne, dwadzieścia to nie tak bardzo wiele z punktu widzenia całokształtu gospodarki polskiej. Ale z punktu widzenia funduszów, powstających ze składek członkowskich już te dwadzieścia, to stanowczo za dużo.

Zastanówmy się chwilę. Czy może istnieć przedsiębiorstwo handlowe lub przemysłowe całkowicie wolne od ryzyka. W zasadzie nie. W takim razie angażowanie kapitału utworzonego z groszowych składek członkowskich w przedsiębiorstwo o najskromniejszym nawet stopniu ryzyka jest rzeczą absolutnie niedopuszczalną, chociażby nawet zostało dziesięć razy uchwalone nietylko przez zarządy i rady, ale i walne zgromadzenia stowarzy-

szeń. W praktyce jednak może istnieć przedsiębiorstwo handlowe lub przemysłowe bez ryzyka. Kiedy? Wtedy, kiedy właścicielem jest organizacja o takiej doniosłości społecznej, że Państwo nie będzie mogło dopuścić do upadłości *firmy* z obawy, ażeby to nie zaważyło na *egzystencji stowarzyszenia*. I jeszcze w jednym wypadku. Wtedy, kiedy kto inny wnosi kapitał lub odpowiedzialność, a stowarzyszenie daje jedynie firmę i wpływy

Ale jeżeli tak miałoby być skonstruowane owych dwadzieścia „społecznych" przedsiębiorstw, to jest ich już dużo. Dużo, dla zdezorganizowania niektórych odcinków życia gospodarczego, na których pojawi się konkurent, nie mający wprawdzie gospodarczego uzasadnienia dla przywilejów, ale mający do nich „prawo moralne", oparte na społecznem znaczeniu stowarzyszenia.

Jedno z dwojga. Albo źle administrowane przedsiębiorstwo (przedsiębiorstwo prowadzone przez organizację społeczną musi być źle administrowane) — zamknie swoje istnienie bankructwem i wtedy przez szereg lat stowarzyszenie ponosić będzie skutki „inicjatywy kupieckiej" swoich władz. Albo bankructwo nie nastąpi — z przyczyn „wyższego rzędu" — i wtedy skutki ponosić będą osoby trzecie. Jest jeszcze trzecia możliwość, kiedy traci jednocześnie stowarzyszenie i osoby trzecie. Możliwość bardzo prawdopodobna. Nienormalny charakter interesu przyciąga specjalny typ ludzi interesu, a opatrznościowi Pawłowscy, Pawłowicze i Pawełkiewicze okazują się oszustami lub szkodnikami, wtedy dopiero, gdy jest już za późno.

a. u.

POLITYKA GOSPODARCZA I MECZE.

Dnia 20 lutego roku pańskiego 1932 zebrali się w Genewie przedstawiciele rządów siedmiu państw europejskich, eksportujących węgiel; w uszeregowaniu alfabetycznem, zgodnie z procedurą organów Ligi Narodów — przedstawiciele Belgji, Czechosłowacji, Holandji, Niemiec, Polski i Wielkiej Brytanji. Konferencja miała na celu zbadanie możliwości jednoczesnego ratyfikowania i zastosowania przez wszystkie wymienione państwa projektu konwencji, przyjętej na Międzynarodowej Konferencji Pracy w połowie roku 1931 w sprawie długości czasu pracy w kopalniach węgla kamiennego.

Długość dnia pracy została wówczas określona na 7 godzin 45 minut na dobę, włączając w to średni czas przeznaczony na wjazd i wyjazd z szybu. Wysuwane z pewnych stron propozycje, by przy określeniu czasu pracy w przemyśle węglowym wziąć pod uwagę również kopalnie węgla brunatnego, którego rozmiary spożycia wewnętrznego w Niemczech wpływają w silnym stopniu na warunki zbytu węgla kamiennego, oraz uwzględnić w długości czasu pracy ustawowe urlopy robotnicze, nie uzyskały poparcia większości.

Należy przypomnieć, że sprawa czasu pracy w górnictwie węglowem znalazła się na porządku obrad Międzynarodowej Konferencji Pracy dzięki energicznemu poparciu jej przez największego producenta węgla kamiennego w Europie. Pierwszy rząd Mac Donalda skrócił efektywny czas pracy w kopalniach brytyjskich do 7 godz. dziennie, co wraz ze zjazdem i wyjazdem oblicza się średnio na 7½ godz. Konserwatyści po dojściu do władzy przedłużyli dzień pracy w górnictwie węglowem do 7½ godz., t. j. w rozumieniu kontynentalnem do 8 godz., widząc w tem jeden ze środków, umożliwiających Anglji coraz trudniejszą konkurencję na rynkach zagranicznych. Ustawa, przedłużająca w ten sposób dzień pracy na przeciąg jednego roku, odnawiana było z roku na rok przy dużym oporze Labour Party, a sytuacja kopalń bynajmniej się nie poprawiała. Dla „zrównania" przeto warunków konkurencji zjawił się pomysł międzynarodowego ograniczenia dnia pracy w kopalniach: 7 godz. 45 min. w znaczeniu ogólnoeuropejskiem oznacza 7 godz. 15 min. w języku Wielkiej Brytanji — kwestjonowane ½ godziny można by wówczas podzielić krakowskim targiem.

Ten znakomicie pomyślany i przeprowadzony plan napotkał na jedno małe „ale": konwencja międzynarodowa może być o tyle tylko skuteczną, o ile przystąpiłyby do niej państwa konkurencyjne. Projekt konwencji o czasie pracy w kopalniach węgla kamiennego zawiera art. 19, który przewiduje wejście w życie konwencji po ratyfikowaniu jej przez dwa państwa z pośród siedmiu powyżej wyszczególnionych. Uchwalenie art. 19 w takiem brzmieniu nie obyło się bez trudności: wniosek angielsko - niemiecki pragnął uzależnić wejście w życie konwencji od ratyfikowania jej przez wszystkie siedem państw wymienionych i ostateczne brzmienie art. 19 ustalone zostało na komisji 20 głosami przeciw 18-tu. Dziś — po 1½ roku zgóra — projekt konwencji, uchwalony na Międzynarodowej Konferencji Pracy 81 głosami przeciw 2 (polska delegacja rządowa wstrzymała się od głosu wobec odrzucenia jej poprawek), nie jest ratyfikowany przez *żadne* z siedmiu państw wchodzących w rachubę. Znowu wraca projekt, aby nastąpiła jednoczesna ratyfikacja i jednoczesne wprowadzenie w życie przez wszystkie siedem.

Komunikat, ogłoszony po „ściśle poufnych" obradach ostatnich stwierdza, że delegaci rządów zaznajomili się z trudnościami, jakie napotkałaby Wielka Brytanja przy wprowadzaniu w życie omawianej konwencji, a które dotyczyłyby zwłaszcza zmiany personelu zatrudnionego przy pewnych robotach o charakterze ciągłym oraz pracy w niedzielę popołudniu. (Praca w niedzielę popołudniu nie mogłaby w Wielkiej Brytanji być zastąpiona pracą w sobotę popołudniu, gdyż w ten dzień i o tej porze odbywają się mecze (tak!) i robotnicy angielscy przywykli w nich brać udział (tak!).

W obliczu tych trudności delegaci siedmiu państw „węglowych" nie uznali się kompetentnymi do ich rozstrzygnięcia i uznali, że jednoczesna ratyfikacja „nie wydaje im się możliwą".

Poza własnem tłem, które samo w sobie jest dostatecznie interesujące dla badacza międzynarodowych stosunków gospodarczych, w sprawie tej osobliwszy posmak mają motywy, które podaje rząd angielski, jako uniemożliwiające mu wniesienie projektu konwencji do ratyfikacji. Zadając py-

tanie: Polityka społeczna czy polityka struktury społecznej, p. Bobrowski w poprzednim N-rze „Gospodarki Narodowej“ kwestjonował politykę gospodarczą ponadklasowego kierunku. Czy istotnie wobec takiego argumentu, jakim jest week - end robotników angielskich, decydujący o stanowisku rządu Jego Królewskiej Mości, naszą politykę społeczną można osądzać jako „stojącą poza obrębem problemów gospodarczych“, jako „teren dla rozgrywki sił społecznych i politycznych“?

Nietylko w sferze naszych ubezpieczeń społecznych, ale w życiu każdego państwa współczesnego decydują częstokroć i decydować będą momenty „silniejsze od rozumowania gospodarczego“.

c. s.

PRÓBA WŁASNEJ DOKTRYNY.

Spółdzielczość jest daleko więcej *ruchem*, niż doktryną. Jej siłę stanowi nie *hasło* „Rzeczypospolitej Spółdzielczej“, lecz *realizacyjna praca* pionierów roczdelskich, Raiffeisena, Stefczyka, Mielczarskiego... Przywódcy ruchu, budowniczowie byli i są słabemi pisarzami. Nie można im tego poczytywać za winę; czasami jest to nawet zasługą. Doktrynę tworzą, dorabiają ludzie specjalnego autoramentu: profesorowie, naukowcy, literaci. Między pierwszą a drugą grupą niema mocnych powiązań, grupy te niezawsze się dobrze rozumieją, niekiedy maszerują w różnych kierunkach.

Polskiej rzeczywistości spółdzielczej bliższy jest Mielczarski, który ziemie polskie w zaborze rosyjskim przemierzył własną stopą, pracował z *żywym, konkretnym* człowiekiem, współdziałał w budowaniu nowej kultury „od dołu“, aniżeli Karol Gide, twórca pociągających konstrukcyj teoretycznych. Wydawany przezeń „l'Emancipation“, założony przed 46-ma laty, został zamknięty, gdyż nikt nie śmie kontynuować pracy „mistrza“ Mielczarski, Stefczyk i inni przeszli przez życie, a nie obok życia, oddziaływali czynnie w kole zbiorowej pracy — i pozostawili po sobie dzieło, które kontynuują ich następcy, gdyż fakty społeczno-gospodarcze nie znoszą pustki.

W tych warunkach zrozumiały jest sceptyzm w odniesieniu do prób stworzenia polskiej doktryny spółdzielczej. Od autorów, podejmujących się takich zamierzeń, wymaga się przedewszystkiem zbliżenia do faktów dokonanych i dokonywujących się, przezwyciężenia w sobie najbardziej miłych, podniosłych, upajających haseł, wyrozumowanych „ex catedra“, a naukowiec — prześwietlenia promieniami, idącemi zzewnątrz ruchu, z życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego itp. kraju, w którym ten ruch spółdzielczy się rozwija. Kto nie umie powiązać idei spółdzieczej z ideą nowoczesnego państwa, kto nie potrafi spółdzielni wyznaczyć miejsca pomiędzy przedsiębiorstwem państwowem, kartelem a sklepikiem prywatnego handlarza, kto nie wie, ku czemu nas pchają warunki historyczne, geo-polityczne, ludnościowe itp. — ten stworzy syntezę papierową, bezduszną, zakłamaną i fałszywą.

Do „Ekonomiki ruchu spółdzielczego“ Władysława Jennera (Lwów 1932 stron 198) nie odnoszą się tak ostre słowa krytyki „na wyrost“, odpowiada ona bowiem podstawowym wymaganiom stawianym książce o charakterze próby polskiej doktryny spółdzielczej. Jest w niej życiowe podejście do problemu ,jest podkład realny, jest żywy oddźwięk faktów, a nie własnych „pobożnych życzeń“. Do słabych natomiast momentów wypada zaliczyć kwiecistość stylu, przesadny werbalizm, zato, zbyt szczupłe rozmiary działu sprawozdawczo - statystycznego i krytycznego odnośnie polskich stosunków w kooperacji, za słaby akcent w ocenie materjału ludzkiego tej ostatniej, dużo przejaskrawień i wewnętrznych sprzeczności. Wydaje się niekiedy, że temat przerasta możliwości autora, który zakłopotanie pokrywa nieco wodnistym frazesem. Nie zmniejsza to jednak jego zasługi, którą widzimy w trzeźwem, rzeczowo - polskiem postawieniu roli spółdzielczości. Teza, że spółdzielczość ma na celu usuwanie „bierności ekonomicznej szerokich warstw społecznych“, nie jest ani nowa, ani błyskotliwa; to jednak, że pasuje ona do naszych warunków i potrzeb dnia dzisiejszego i jutrzejszego, nadaje jej jakgdyby posmaku rewelacji. Jest to coprawda skutek, wywołany drogą reakcji po wieloletniem „panowaniu“ u nas doktryn obcych, że tak powiemy — egzotycznych wiszących w powietrzu. Praca p. Jennera jest ich zaprzeczeniem ,a przez to — chociaż pełna niedociągnięć i werbalizmu — pożyteczna i warta uwagi.

z. i.

SAMOBICZOWANIE.

Jeżeli urzędnicy podatkowi śnią o sprawach zawodowych, to najmilszym snem może być tylko jeden: podatek skonstruowany tak, ażeby płatnicy dążyli sami do zwiększenia wymiaru. Sami śpieszyli jaknajprędzej — nie czekając na wezwanie Urzędów Skarbowych — uiścić należność itd. itd. Niestety okienka Urzędów skarbowych nie doczekają się takich płatników i takiego podatku. Natomiast sen ten jest już właściwie rzeczywistością. Tacy płatnicy odwiedzają jednak nie Urzędy skarbowe, lecz sklepy z wyrobami Monopolu Tytoniowego. Opłaty monopolowe od wyrobów tytoniowych z punktu widzenia ściągalności i efektywności stanowią unikat w swoim rodzaju. Podczas kiedy przy szeregu podatków pośrednich może być postawiony zarzut jaskrawej niesprawiedliwości, a możliwość zwiększania wymiarów ograniczona jest przez fakt, że np. soli nie zdoła nikt skonsumować w ilościach nieograniczonych, to natomiast jeśli chodzi o wyroby tytoniowe, każda zwyżka dochodów podatnika, prowadząc do podwyższenia jego stopy życiowej, automatycznie pociąga za sobą przechodzenie palacza na droższe gatunki tytoniu i papierosów, zwiększając tem samem wpływy skarbowe. Można było o tem nie mówić dawniej. Dzis jednak, w okresie kryzysu, kiedy zagadnienie ściągalności zaciążyło tak dotkliwie na wpływach skarbowych, nie można lekceważyć żadnego drobiazgu, związanego z tak bezbolesnym i skutecznym sposobem drenowania dochodu społecznego na rzecz zwiększenia wpływów skarbowych, jakim są dochody Monopolu Tytoniowego. Dla zrozumienia wagi sprawy wystarczy uprzytomnić sobie, że dochód budżetu Państwa w pozycji monopolu Tyto-

niowego ustalony został w roku 1932/33 na 340 milj. zł., w preliminarzu zaś na rok 1933/34 przewidziana jest suma 350 miljonów zł. Wystarczy uprzytomnić sobie, że drobne wahnięcie dochodu Monopolu Tytoniowego dać może zyski lub straty przerastające wpływy np. z podatku dochodowego od rolnictwa — nieco większe zaś np. wpływy z podatku gruntowego.

Widocznie nigdy wszystko nie może być w porządku. Bowiem przy tym podatku, który płatnik chce płacić i to w sumie możliwie dużej, cały szereg czynników, a w tym rzędzie niektóre władze państwowe, przeciwstawiają się tej tendencji tak niezwykłej u kryzysowego podatnika. Mamy na myśli piętnowany słusznie w ostatnich czasach fakt zakazów palenia, a przedewszystkiem zakazów palenia w urzędach. Piętnowany słusznie, wciąż jeszcze za mało. Słusznie wysunięte zostały argumenty, że zakaz palenia w urzędach i instytucjach państwowych stawia w niewygodnem położeniu klijentelę, że sprzeczny jest ze zwyczajami, panującemi w całej zachodniej Europie, że wreszcie jeśli szef urzędu nie znosi dymu tytoniowego, to zamiast wyrzucać pieniądze na tabliczki z napisem „nie wolno palić", może je zużytkować na kupno wentylatora, itd. itd. Z punktu widzenia gospodarczego wszystkie te argumenty są zbyteczne. Wystarczy w zupełności jeden: w okresie kryzysu gospodarczego niewolno z jakichkolwiek powodów narażać wpływów skarbowych na zmniejszenie, niewolno z jakichkolwiek powodów osłabiać efektywności skutecznego i lekkostrawnego podatku. Pikanterji całej sprawie dodaje przedewszystkiem fakt, że zakazy palenia szczególnie rozpowszechnione są w urzędach i instytucjach państwowych. Należałoby szefom tych urzędów życzyć, ażeby uposażenie ich zostało zmniejszone w tym samym stosunku, w jakim wydawane przez nich zarządzenia zmniejszają wpływy skarbowe. W warunkach sowieckich tego rodzaju postępowanie zostałoby — bez żartów — zakwalifikowane jako sabotaż i tak zwane „wreditielstwo". *for.*

HISTORYK O LOTERJI KLASOWEJ

Polski historyk loterji klasowej, Ignacy Baliński pisze, że loterja klasowa jest dla całego szeregu ludzi podatkiem, opłacanym na rzecz tak zwanego „szczęścia", realnem umożliwieniem — kosztem niewielkich miesięcznych rat — interwencji szczęśliwego przypadku w ich życiu, — przypadku, który gdy nastąpi, doda im, jak mówi Orzeszkowa, trochę masła do suchego chleba powszedniego, pozwoli na jakieś uprzyjemnienie życia poza normą budżetu zwykłego, a może nawet pokaźniejszą kwotę większej wygranej wsunie do kieszeni. Praca — pracą, zarobek — zarobkiem, ale i „szczęście" coś znaczy — szepce tradycja wieków, trzeba więc temu szczęściu otworzyć jakąś furtkę, bo bez biletu na loterję, jakże ono znajdzie sobie drogę?

A obecna 26-ta loterja państwowa — dodamy od siebie — daje najwięcej szans szczęśliwego wygrania.

———

W V-tej klasie, której ciągnienie rozpoczyna się w dniu 9 marca, główną wygraną jest miljon złotych. Według planu gry ten miljon ktoś wygrać musi. A prócz tego jest 45.165 innych wygranych, wielkich i małych, zaczynając od 300.000 zł.

„GOSPODARKA NARODOWA"

spółdzielnia wydawnicza z ograniczoną odpowiedzialnością w Warszawie

Bilans na dzień 31 grudnia 1932 r.

STAN CZYNNY		STAN BIERNY	
Kasa	935 zł. 20 gr.	Udziały	620 zł. — gr.
P. K. O.	475 „ 86 „	Wierzyciele	819 „ 50 „
Dłużnicy	1.000 „ — „	Akcepty	813 „ — „
		Sumy przechod.	112 „ 75 „
		Czysty zysk	45 „ 81 „
Suma bilansowa	2.411 zł. 06 gr.	Suma bilansowa	2.411 zł. 06 gr.

Rachunek strat i zysków za okres 20.VII.1931—31.XII.1932 r.

STRATY		ZYSKI	
Koszty administracyjne	7.833 zł. 26 gr.	Zysk brutto na wydawnictwie	8.551 zł. 55 gr.
Pozostałość strat z bilansu otwarcia	672 „ 48 „		
Czysty zysk	45 „ 81 „		
Razem	8.551 zł. 55 gr.	Razem	8.551 zł. 55 gr.

ZARZĄD: (—) **Z. Ciechomska**

Za RADĘ NADZORCZĄ: (—) **K. Sokołowski**

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". **CZESŁAW BOBROWSKI**

Sekretarz Redakcji: ZOFJA CIECHOMSKA

RĘKOPISÓW NADESŁANYCH REDAKCJA NIE ZWRACA.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.